

II / 216 z

Gdyby nie nalegali znajomi oraz rodzina, nie wiem, czy kiedykolwiek zdecydowałabym się na pisanie, ponieważ to, co przeżyłam nie jest rzeczą, o której można swobodnie mówić. Dziecko w wieku 5 lat nie pamięta zbyt wiele, ale tego nie da się zapomnieć.

Ogromnym szokiem dla nas był brak ojca, którego Niemcy zabrali do obozu. Pozostaliśmy sami z mamą: ja i trzyletni brat. Mieszkaliśmy w małej wsi Jaki, gmina Wąsosz (woj. łomżyńskie).

Bardzo rano w ranku zabębnilo do naszych drzwi sowieccy żołnierze. Natychmiast kazali gotować się do drogi. Droga owa zapowiadała się nie na krótką, więc mama musiała iść po wsi szukać chleba i słoniny. Zostawiła nas pod opieką obcych i wrogo patrzących ludzi. Gdy wróciła, zakładowali nas na furankę i odwieźli na dworzec do Łomży. Zapakowali do towarowych wagonów. Traktowani jak zwierzęta, ruszyliśmy w drogę, która dla mojej mamy i brata była drogą bez powrotu.

Pamiętam, że podróż trwała bardzo długo. Nękało nas pragnienie. Brak wody odczuwaliśmy coraz bardziej. Plakała z nami mama.

Wreszcie dojechaliśmy do miejsca. Przesiedliśmy się na wozy, które ciągnęły krowy, i dojechaliśmy do miejscowości Łakargar. Zamieszkaliśmy w domkach (nie wiem, czy to w ogóle można nazywać domem) tzw. ziemiankach, po dwie rodziny w jednym: my z mamą i jeszcze jedna kobieta z dzieckiem. W tych lepiankach panowały warunki nie do życia: ciemno, brudno, robaki nie dawały spać po nocach, na zewnątrz widać wilki.

Matka pracowała w kołchozie. Zamykała nas samych. Całymi dniami patrzyliśmy przez jedyne małe okienko, czy nie nadchodzi, czy niesie coś do jeźdźni. Przez to okienko widać było tylko rozległe stepy i pasące się wielbłądy. Wieczorem przechodziła z upragnionym dzbankiem zupy. Oczywiście było jej za

mało, aby się najeść do syta, ale mama przynosiła jeszcze zdobytą kapustę lub arbuza, odrobinę prosa za rękawami koszuli. Gdy zaspokoila nasz głód, zabierała nas na stepy do zbierania krowich odchodów, aby je potem wysuszyć i mieć czym palić, bo o drzewie nie można było nawet marzyć. W zasięgu zwrótku nie rosło ani jedno.

Po pewnym czasie mama bardzo mocno zachorowała i nie była już zdolna do takiej ciężkiej pracy jak dotychczas. Przewieźli nas do innej miejscowości do miasteczka o nazwie Dziuruń. Tam mama pracowała przy praniu ubrań po poległych. Dla nas było to wielka frajda, bo w kieszeniach znajdowaliśmy kawałki chleba, różne rodzinne zdjęciami, dokumenty, drobiazgi, tusze i t.p.

Nie wiem, dlaczego przewieźli nas znowu do innej miejscowości, do miasta Aktiubińsk. Po pewnym czasie mama zachorowała na tyfus. Bardzo chora leżała w domu. Nie mieliśmy co jeść. Przyszła do nas jakaś kobieta i kazała nam iść na ulicę prosić ludzi o chleb. Pamiętam doskonale, że nikt nie dał nam ani kawałka; przecież nikt nie miał go za dużo. Wracaliśmy do domu głodni i przerażeni. Pod płotami leżeli nieżywi ludzie.

Znowu przyszła ta kobieta i zabrała nas do ochronki. Miałam już wtedy 8 lat, a brat - 5. Mamę zabrali do szpitala. Ochronka była niedaleko i codziennie mogliśmy do mamy chodzić. Dawała nam zawsze po kromce wysuszonego chleba, a my przynosiśmy po kosteczce cukru, który dostawaliśmy do kawy. Mama cigle mówiła, że ma gorzko w ustach.

Gdy poszliśmy któregoś dnia rano, ona już nie żyła. Leżała w koszuli pod starą szopą. Łatwo chyba sobie wyobrazić, co przeżywaliśmy. Sami, bezbronni, wśród obcych, nieprzyjaznych nam ludzi. Natychmiast pobiegliśmy do naszej wychowawczyni. Kobieta ta wzięła poszewkę z koca i wózek, aby pochować mamę

gdzieś w rozległej, pustej przestrzeni. Choć mali, również pomagaliśmy pchać wózek. Zagrzebaliśmy ją i wróciliśmy do obcego domu z obcą nam kobietą. To jest nie do opisania, tego nie można wyrazić na papierze.

Byliśmy niedługo razem. Brat zachorował na tyfus czy malarię i pani wychowawczyni zanieśli go do szpitala. Pewnego dnia powiedziała mi, że mój brat już nie żyje. Chciałam natychmiast iść do szpitala, ale nie pozwolono. Nie widziałam nieżyjącego Jurka (tak miał na imię) i chociaż od tego czasu minęło już bardzo wiele lat, ja wciąż wierzę, że on gdzieś żyje, tylko nie wiemy o sobie i nie potrafimy się odnaleźć. Być może on nie wie, że jest Polakiem.

Przebywałam w Aktiubińsku jeszcze parę miesięcy. Całą naszą grupę dzieci odesłali do Polski. Wszyscy wyglądaliśmy jednako: głowy wygolone do gołej skóry, ubrani w identyczne mundurki. Przywieźli nas do ochronki w Gostyninie. Byłam tam dwa tygodnie, bo zrobili selekcję, oddzielając najmniejsze, najsłabsze dzieci. W tej grupie znalazłam się i ja. Miałam 10 lat, a wyglądałam na nie więcej niż 6. Przywieźli nas do dziecińca w Elblągu na tzw. odżwienie.

Ojciec intensywnie poszukiwał nas przez Czerwony Krzyż. 22 maja 1946 roku wreszcie się odnaleźliśmy. Wydawać by się mogło, że rzuciłam się ojcu na szyję z radości. Wręcz przeciwnie. Nie chciałam nawet słyszeć, że muszę stamtąd gdziekolwiek jechać. Miałam dość podróży i kłamstw, bo przecież ja cały czas wracałam do domu. Tak nam mówiono.

Ojca nie poznałam, bo przedtem gdy widzieliśmy się ostatni raz, miałam niepełne 5 lat, a gdy go znowu zobaczyłam - 10. W dłuższej rozmowie dałam się przekonać, czego nigdy w życiu nie żałowałam. Żal mi było utraconego dzieciństwa i rozerwania z rodziną w tak brutalny sposób.